

PROLOG

Kamień zgrzytnął raz, drugi, trzeci. Udało się za czwartym razem.

Mężczyzna, który siedział po stronie kierowcy, zaciągnął się i wypuścił dym. Stres, który towarzyszył mu ostatnio niczym cień, odpuścił. Mężczyzna rozluźnił się. Przynajmniej na chwilę. Płomień oświetlił twarz pokrytą siwym kilkudniowym zarostem i zmarszczki wokół oczu.

Kierowca co jakiś czas spoglądał we wsteczne lusterko. Trochę z ostrożności. Trochę z przyzwyczajenia.

Przez ostatnią godzinę opowiadał, a ten drugi, nieco starszy, z włosami spiętymi w kucyk, słuchał.

Zatrzymali się przy drodze 913, kilka minut od lotniska. Mogli pojechać na stację benzynową, ale zawsze istniało ryzyko, że ktoś ich przypadkiem zauważy. Poza tym samochód zostałby zarejestrowany przez kamery, a tego woleli uniknąć. Obaj mieli kłopoty i dodatkowe nie były im potrzebne.

Jeden drugiemu mógł zadać pytanie, które wisiało w powietrzu. Ale przyjaciele nie zadają pytań, na które nie ma dobrej odpowiedzi.

Na które nie ma żadnej odpowiedzi.

Pasażer szczerzej owinął się płaszczem, trochę zbyt lekkim jak na tę porę roku. Marzec w dwa tysiące czternastym roku

nie rozpieszczą. Przed tygodniem nastąpił kolejny atak zimy, samochody grzęzły w zaspach. Miał to być już ostatni atak kapryśnej pogody w Polsce, przynajmniej na to wskazywały prognozy. Kierowca śledził komunikaty meteorologiczne, choć nigdy wcześniej tego nie robił. Tym razem miał swoje powody.

Pasażer trzymał na kolanach niewielki wojskowy plecak. Rozsupłał go, wyjął piersiówkę i pociągnął tyk.

– Tobie nie proponuję – zwrócił się do kierowcy. Pierwsze zdanie wypowiedziane od bardzo długiego czasu.

Kierowca wyciągnął rękę, przejął piersiówkę i przyłożył do ust.

– W zasadzie wszystko mi jedno – wychrypiał. – A wiesz, mam ten wiersz ze sobą.

– Wiersz?

– No wiersz. Mówiłem ci. – Wskazał głową na schówek po stronie pasażera.

Przechylił się w prawo, wyjął atlas Polski i plan miasta, a następnie zeszyt w trzy linie, taki, jakiego używają dzieci w pierwszych klasach szkoły podstawowej. Przerzucił kilka kartek i podał jedną luźną temu drugiemu. Zmierzchało. Zapalił światło w samochodzie. Pasażer zmrużył oczy i zaczął czytać.

Mówią, że

Lennon nie umarł.

Chodzi koło warszawskiego Marriotta

Spaceruje po Central Parku

Stoi na dachu na Abbey Road.

Uprawia jogging

Ze słuchawkami na uszach

Gdy staje przed lustrem

Wita się ze sobą jak z dobrym sąsiadem

Od lat tym samym

– Dzień dobry, panie Chapman.

Tamten uśmiecha się

A zęby lśnią

Jak wilcze kły.

Mówią, że

Lennon nie umarł.

Mówi się, że jak na swoje lata

Trzyma się całkiem nieźle.

Skończył, wypuścił powietrze ustami i spojrzał na kierowcę.

– Nic z tego nie rozumiem. Dla mnie to jak szyfr. Nie znam się na poezji.

Kąciki ust kierowcy drgnęły.

– Tego by brakowało, żebyś się znał. Rzeczywiście to coś w rodzaju szyfru.

Pasażer odwrócił głowę w stronę bocznej szyby i zacisnął dłonie na plecaku. Milczeli. Usłyszeli szum silników lotniczych.

Mężczyzna otulił się ramionami. Podwinął rękaw płaszcza i spojrzał na zegarek.

– Podrzucisz mnie bliżej?

Kierowca, nie mówiąc nic, odpalił silnik. Bez przeszkód dotarli pod terminal.

– Co będziesz teraz robił?

Pasażer odpiął pasy.

– Mam jeszcze jedną sprawę do załatwienia. Nie mogę się mylić... A potem? Potem nie wiem. A ty?

– Lepiej nie pytaj. – Mężczyzna poprawił włosy spięte w kucyk. – W każdym razie tam, gdzie jadę, jest więcej słońca. Ostatnio i tu zrobiło się gorąco, ale nie o takie ciepło mi chodzi. Jeszcze chwila i przyjdzie im do głowy, że jestem kumplem tego Trynkiewicza.

Dawno nie było go w kraju, ale był na bieżąco z najgłośniejszymi wydarzeniami.

Pożegnali się bez słowa. W ich wypadku było to zbędne. Starszy wysiadł z samochodu i zarzucił plecak na ramię. Wiatr rozwiał mu poły płaszcza. Przez chwilę mężczyzna wyglądał jak ktoś z innego świata.

Miał już odjechać, gdy usłyszał pukanie w boczną szybę. Niespodziewanie pasażer znalazł się po tej stronie. Taka drobna sztuczka na pożegnanie, zupełnie w jego stylu. Mężczyzna opierał się o samochód i trzymał coś w dłoni.

Znów pukanie. Kierowca uchylił szybę.

– Zapomniałbym, to dla ciebie. *Sarome*. Japońska zapalniczka. *Sarome* po japońsku oznacza „bóg ognia”. No i jest znacznie lepsza niż ten twój szajs.

Kierowca wziął zapalniczkę. Chłód metalu. Ktoś z tyłu zniecierpliwiony zatrąbił. Spojrzenie we wsteczne lustro. I znów rzut oka na prezent. Mimo zmroku dostrzegł na chromowanej obudowie wygrawerowaną datę i litery.

1969. LK

– Nie wiedziałem, że paliłeś.

– W ogóle mało wiemy o sobie, prawda? Mimo że znamy się dość długo. Ta zapalniczka była w dobrych rękach. Opowiem ci kiedyś o tym.

Kolejny dźwięk klaksonu. Tym razem jakby bardziej agresywny.

Kierowca uniósł rękę do góry w geście przeprosin i ruszył z piskiem opon. Spojrzał w lusterka, ale nigdzie nie dostrzegł mężczyzny w płaszczu.

Tylko przy drodze w okolicy lotniska pozostały brunatne sterty śniegu. W centrum miasta po zimie nie było ani śladu. Naprawdę końcówka zimy.

Co będzie robił? Naprawdę nie wiedział. Ale miał jeszcze coś do załatwienia. Komunikaty meteorologiczne. Rzeczywiście stały się dla niego ważne.

Gdy Rudolf Heinz, policjant i najlepszy profiler w Polsce, do niedawna o nieposzlakowanej opinii, wjeżdżał w osiedlową uliczkę, nie myślał już o lotnisku i swoim towarzysz.

Myślał o wilczych kłach.

O zębach, które lśnią jak wilcze kły.